№ 13. Piątek, dnia 25 Grudnia 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

DRZEW. WARSZAWSKA.

WARSZAWA dnia 13 (25) grudnia 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. **4** kop. **50**; miesięcznie k. **38**.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. **6**; —
kwartalnie rs. **1** kop. **50**.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE od X-go do XII-go wieku.

szkicował
ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

II. DĄBRÓWKA.

Wanda to symbol poczerpany z podań mytycznych. Obecnie przechodzimy do dziejów pewnych, bliżej nam ze źródeł znanych. Rozpoczynają się one z chwilą, gdy Mieszko, jako król słowiańskiego pokolenia, które się zowie Licicavici, pojawia się w kronikach. Nazwa Licicavici wedle Lelewela oznacza Łęczycan, Quandt ją wykłada pokrewnem mianem Lechów Kujawian. Z określeń Dytmara, że Mieszko ów rządził w zawisłości od Niemców krajami sięgającemi „aż po Wartę" można wyrozumieć, iż te państwa Mieszkowe leżały od strony wschodniej Warty, nie zachodniej, jak dotąd rozumiano. Wtedy Kujawy Łęczyckie i Mazowsze tym łacniej wypadłoby poczytać za dzielnicę Mieszka, że on mazurskim sposobem do siedmiu lat był „ślepy," więc ziścił przysłowie, szydzące z Mazurów, że rodzą się ślepymi jak szczeniaki, i pod „ciemną gwiazdą." A następnie, wedle podań Gallusa, myszy zjadły Popiela księcia gnieźnieńskiego, po za obrębem krainy gnieźnieńskiej, bo „gdy został z swego państwa wygnany"—a Mieszko książę „Kujaw," także przez myszy został zjedzony 1237 r. Obie więc przygody zajść mogły w Kujawach „ziemi błyskawic," jak można z sanskryckiego wyrazu „kyu," oznaczającego błyskawicę, tłómaczyć nazwę prowincyi. Mysz zaś zjadająca Popiela, jest symbolem błyskawicy, jak dowiódł Grohman.

W ziemiach więc myszy, błyskawic, ślepych mężów i topieli łącznych panował Mieszko, syn Semomysła. W dziejach spotykamy go najprzód w opłakanej doli. Wichmann, margrabia północny, do współki z Duńczykami, po dwa kroć go pobił, brata mu ubił jednego i łup z ziem jego zagarnął. Niedługo później tenże sam Wichmann na czele Wolinów, nad Odrą siedzących, kędy korsarstwem się trudnili, po raz trzeci najechał Mieszka.

Od tych najazdów niebronił go stosunek lenniczy względem króla niemieckiego Ottona, krewniaka Wichmana, przyjęty. Gdy Mieszko był jeszcze poganinem, te najazdy uchodziły za wyprawy apostolskie gorliwych o nawrócenie bałwochwalcy Niemców. Chcąc odjąć ten pozór, wedle jednych, a wedle drugich, by doczekać się potomstwa, Mieszko nasz poprosił o rękę Dąbrówki księżniczki czeskiej, już zdawna katolickiej.

W chwili, gdy chrześcijańska ta małżonka Mieszka Lamberta I-go Semomysłowicza wstępowała z nim w śluby, siedem żon, obyczajem pogańskim dzieliło się jego sercem. Wedle bowiem powieści Dytmara Sasa, który pisał swą kronikę za życia syna Mieszkowego (do 1018 r.), więc był bliższym tych czasów od Gallusa, Dąbrówka księżniczka czeska poszła za Semomysłowicza jeszcze poganina. Mówi wyraźnie ten kronikarz, że Dąbrówka wierna Chrystusowi, widząc małżonka mnogiemi pogaństwa błędami zarażonego, pilnie rozważała w strapionej swej głowie, jakimby go sobie sposobem *w wierze spólnikiem* uczynić. I tu spotykamy charakterystyczne szczegóły o sposobie nawracania pogan nad Wisłą.

Dla ich właściwego ocenienia, rzućmy okiem na czyny zbrojnych apostołów teutonizmu, i wiary Chrystusa na porzeczach Elby i Odry. Na gościnnych salach margrabiego Gerona, trzydziestu słowiańskich książąt ucztuje; w duchu miłości Zbawiciela, spija z jednego pucharu i łamie się chlebem chrześcijanin z poganami. Zdałoby się, że powtarza się scena postrzyżyn „Semowitaja, którego zowią Semowit" syna Pasta „żywiciela," a wnuka Choszynka „słoneczka". Czekasz rychło li otworzą się drzwi wspaniałej Gerona sali i wejdzie widomie, jak do Pastowej lepianki, dwu aniołów, by już nie postrzyżyn, ale chrztu dopełnić nad sproszonymi poganami.

Tak nad Gopłem symbolizowano sobie zjawienie się opowiadaczy „dobrej nowiny." Dla nadwarteńskiej okolicy, „aniołowie" zwiastowali „dobrą" nową wiarę. Atoli w Geronowej sali zjawili się inni zwiastuni.... za chwilę trzydziestu pogan krwawy chrzest odebrawszy, runęło trupami pod stół gościnny.

Jeśli miłość ludzka przewodniczy dziełu Dąbrówki, i słudzy kościoła wspierają jej usiłowania: to zabiegi obojga życie nie śmierć, nawet na tej ziemi, przynoszą Mieszkowi. W dalekich ziemiach Słowian zachodnich, na dworze Kruka syna Gryna, który dawną wiarę i obyczaj przeciw Niemcom i neofitom swą dzielną prawicą od upadku zasłaniał, zjawia się Henryk Gotszalkowicz, syn dawnego władcy, jak ojciec, już chrześcijanin.

Że Henryk był prawowitym dziedzicem ziem obecnie przez Kruka dzierżonych, a wydartych mu tylko dla jego wiary, i że obrona ich ciężką była starzejącemu się przywłaszczycielowi— zasiedli więc zgodnie u jednego stołu Kruk, pogański uzurpator, i Henryk wyzuty z praw swych władca, a czciciel Boga miłości. Sławina, żona Kruka, jak mąż poganka, okazała się na pozór skłonna iść w tropy Dąbrówki. Dała ucho naukom Henryka..... czy żeby potem tak działać na męża dla dobra chrześcijaństwa jak Dąbrówka to czyniła?

Dąbrowka bowiem, lubo chrześcijanka poszła za poganina, i jak chrześeijańska małżonka pomorskiego Wratysława, z czasów Krzywoustego, znalazła się w gronie liczniejszej, niż nato nowa wiara pozwalała rodziny Mieszka. Zwykle, idąc za powieścią Gallusa, szybko przesuwano się, lub też ganiono środki użyte przez czeską apostołkę dla nawrócenia jej książęcego męża. Miano bowiem głównie na pamięci charakter jej duchowny. Nikt nie zwrócił uwagi, że to była kobieta, że to była żona, i że sceny nawrócenia pogańskiego są zarazem fazami miłosnych zapasów nowo zaślubionej pary, a pewno i walkami nowej żony z dawnemi.

Dytmar bardzo wyraźnie mówi, że Dąbrówka naumyślnie do czasu źle postępowała, aby późniejsze mozoły uwieńczyły się dobrym skutkiem. Bo w post, który zaszedł małżeństwo w miodowej dobie, chciała księżniczka czeska, jak zwykle na chwałę Bogu *martwić ciało* i wstrzymywać się od mięsa. Atoli mąż prosi ją o złamanie ślubu *słodkiemi słowy*[1]) i Dąbrówka zadość jego chęci uczyniła, *aby później tym łatwiej być wysłuchaną*. Mówią, że jednego roku w post jadła mięso, inni, że aż trzy lata.

Słowem, dobro wiary dyktyje przez usta młoduchny książęcej warunki rozkochanemu oblubieńcowi. Przed jego prośbami taje wola Dąbrówki, ale wynurza się żądanie apostolski: daj ucho przykazaniom mej wiary; za mą miłość porzuć twe bogi i przekonania.

I tak zwycięztwo miłości chrześcijanki, jest klęską bogów pogańskich na Kujawach, Łęczycy lub Mazowszu.

Ale natomiast nowa wiara, dobrowolnie przyjęta za pośrednictwem miłości przez Mieszka, dla całego jego kraju przynosi wolność moralną i polityczną. Bo jakby za sprawą nowej wiary — zwycięztwo towarzyszy odtąd chrześci-

[1]) Afflictio corporis Dąbrówki i Dulces promissiones Mieszka wyjaśnia Gallus słowami: necdum tamen thoro sese maritali federavit donec ille..... errori gentilium acibnegavit, co w duchu opisu Dytmara należy pojmować.

jańskiemu królowi Lachów Kujawian. Próżno margrabiowie Udo albo Otto i ojciec Dytmara kronikarza Sygfryd, dawnym sposobem chcą łatwy łup brać z Mieszka. „Pycha ich gryzie ziemię.” To odtąd coraz częściej się powtarza nad Wartą i Wisłą.

Na dalekim zachodzie tymczasem Henryk szepcze pogance Sławinie... czy nauki Chrystusa? Mimo zmienionego osób stosunku, mógł mężczyzna nad Elbą, jak kobieta nad Wisłą, szczepić chrystyjanizm. Ale miłość nad Elbą w zbrodni poczęta, teutońską zdradą szerzona, śmiercią się skończyła nietylko wiary ale i bytu Słowian pogańskich. Symbolem tej doli była ostatnia scena stosunków Henryka i Kruka, złączonych przez Sławinę. Po uczcie wspaniałej, trup Kruka podstępnie zabitego, z woli Henryka, u stóp schodów się wala, a na ich szczycie, wiarołomna zaprzysięga z mordercą śluby miłości. Z takiego związku, tylko krwi posiew wschodzi, którą dla jego zawarcia rozlano. Ni śladu też Słowian w tem miejscu.

Płynie rok za rokiem, przychodzi na świat Bolesław, czyli Wielisław, to jest Wiel-ki, zwany dlatego po łacinie Magnus; niedługo, cieszy się małżeństwo drugim synem, którego Niemcy zowią Władybój lub Włademarch, a Czesi i Rusini przekręcili na Oldycha lub Ondrycha. Gdy tak rośnie pociecha w domu Mieszkowi, Jordan biskup prawie że jeszcze in partibus infidelium, krząta się gorliwie w pańskiej winnicy.

Niełatwo mu przychodziło jednać nowej wierze zwolenników, bo niemiecka zachęta miecza i pożogi nierozniecała miłości ku nowym dogmatom. A jeśli nawet gdzie przyjęto „dobrą nowinę,” z pomięszania jej zasad z dawnemi wierzeniami, dziwne powstawały czy to pojęcia czy obrzędy.

Ogólnym zwyczajem Słowian, wielbiono i w Polsce jednego boga, twórcę piorunu, jedengo pana wszech rzeczy. Obok tego jednak czcili i innych, z krwi tamtego pochodzących, którzy trudnili się sprawami ziemskiemi, gdy ów twórca gromów zawiadywał niebieskiemi. Bogów tych drobnych było tylu, ile w Słowiańszczyźnie istniało pokoleń. Odeń pochodzący, gdy okazali się skutecznemi w wyroczniach, gdy zwycięztwa przepowiadane ziszczały się, wchodzili często na pierwszorzędne stanowisko tego pra-boga, a inni, w tej hierarchii bogów zawisłej od politycznej przewagi plemion słowiańskich, schodzili na stopień pół-bogów. Tym sposobem mogło się zdarzyć, że w jednej i tej samej części słowiańszczyzny, zajętej przez kilka plemion, w różnych czasach, różne imiona bogów przeważały, chociaż zawsze każdy z tych pół-bogów po szczególe ma wszystkie atrybuty i przymioty uzdalniające go zostać przy szczęściu swego ludu prabogiem, i każdy prabóg może z upadkiem swych wyznawców zostać tylko półbogiem.

W różnych też okolicach Polski spotykamy imiona bożyszcz nadelbiańskich, jako dowód powszechnej tożsamości bałwochwalstwa wśród Słowian.

Na Podlasiu Rodzis, na Szląsku Rochwist[1]), przypominają bóstwo Obotrytów, które często myląc z nazwą jego grodu, zowią Retrą i Radegastem, to miasto, to bóstwo. Na Rugii zjawia się Swantewit, a podanie ludowe u Mateusza Cholewy zapisane, w podobny sposób jak na tej wyspie przekształciwszy tego bożka w katolickiego świętego, mówi o świętym Wicie w Kruszwicy. Oldenburski Prowe zmienia się w Piotra i Peruna, połabska Żywie zjawia się pod nazwą Dziewanny, nad Wartą i Wisłą.

Na pierwszem atoli miejscu stoi Jesse, i Marżanna.

Podobieństwo imion sprawiło, że bóstwo pierwsze, które już u pierwszych cesarzy rzymskich przyznawano Lechom pod nazwą Izys, przekształciło się w późniejszych ludu podaniach i pieśniach w Jezusa lub Jasia. Za świadectwem zaś Długosza, w pierwszych czasach chrześcijaństwa N. Maryą P. zwał lud „świętą Marzą” upodobniając Ją do starożytnej swej bogini Marżany, która się wiosną, i jej darami opiekowała, i była boginią dziewictwa.

Pomięszanie takie wyobrażeń pogańskich z pojęciami nowej religii w części ułatwiało tród apostolski biskupa Jordana. Bo ten, korzystając z niektórych podobieństw imion i atrybucyi, mógł wynaturzać dawne zasady i formy na korzyść nowych. Atoli, obok tego, zdarzało się jeszcze częściej, że nawet dawniej od Polan ugruntowane w wierze Chrystusa osoby, dopuszczały się takiej kombinacyi dawnych wyobrażeń pogańskich z nowemi katolickiemi, że niwa wiary nad Wisłą i Wartą nieraz bardzo obficie wschodziła i zdrowym posiewem katolicyzmu, i bujną kostrzewą niewyplenionego, a przekształconego pogaństwa.

Sama Dąbrówka przyczyniła się pewno nieraz do takiej dwu wiar pomieszki. Mamy przynajmniej jeden tego niewątpliwy dowód, zapisany przez jej rodaka, czeskiego kronikarza Kosmasa, w następujących słowach: „Umarła 977 r. Dąbrówka, białogłowa zbyt płocha (improba), bo chociaż w leciech podeszła, gdy wychodziła za księcia polańskiego, przecie złożyła namitkę (znamię mężatek) z swej głowy, i włożyła dziewiczy wieniec, co było wielkiem szaleństwem ze strony tej niewiasty.”

[1]) Mający zdaje się drugie miano Leszka.

Wiemy skądinąd, a mianowicie z obyczajów ludu słowiańskiego wogóle, że dziewic znamieniem, od wieków, był bujny splot ich włosów „kosą” zwany, który przystrajano równianką kwiecia t. j. „wieńcem.” Tę kosę przed ślubem sprzedaje „brat” nieraz tylko symboliczny, panu młodemu, poczem ją, rozczesawszy, opalają lub obcinają. Następnie zaś, na odkrytej dotąd głowie, zjawia się czepiec albo „namitka” (por. namiot). Od tej pory głowa dziewicy przestaje być „widzialną,” sama zresztą nowa mężatka obtulona na twarzy, przestawała być oku dostępną, stawała się „niewiastą.”

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Powrót do gniazda, powieść z podań XVI wieku przez J. I. Kraszewskiego.

(*Warszawa 1874 r. nakl. Gebethnera i Wolffa str. 386*).

(Dalszy ciąg)

W ówczesnej Polsce oddawna już grasowała reforma zyskując sobie coraz więcej zwolenników i wyznawców nietylko pomiędzy szlachtą, ale nawet pomiędzy znakomitościami kraju narodowemi i politycznemi.

Jedni zgorszeni, oburzeni, bliscy rozpaczy wobec szerzącej się w kraju herezyi stali twardo przy wierze ojców i powadze tradycyi; takim był wojewoda. Brat wojewody, pan pisarz, człowiek zupełnie inny, złotego wprawdzie serca, ale niestałego umysłu, nowinkom które od zachodu przychodziły, chętne dawał ucho; przyjął do siebie niejakiego Zaranka, człowieka łatwego słowa, ale wielce podejrzanego charakteru. Ten to Zaranek, niegdy podobno ksiądz a dzisiaj gorliwy reformy propagator, do tego stopnia umiał pana pisarza swoją świegotliwą opłątać wymową, że słaby pan pozwalał temu ze świata przybyłemu wichrzycielowi gospodarować, jak sam zechciał, tak że wreszcie improwizowany dysydent—apostoł, księdza staruszka z parafii wypędził a sam z pozyskanemi świeżo dla nauki swej wyznawcami kościół i probostwo zajął.

Jak tedy wojewoda reprezentuje w utworze

U OGNISKA.

— **N** — Cóż-to za ruch niezwykły na ulicach! pomimo niepogody i nieznośnej odwilży wszędzie tłumno i gwarno, a po sklepach aż się roi kupujących. Ten żąda tego, inny o tamto się pyta, a każdy wychodzi ze sklepu obładowany mnóstwem większych i mniejszych pakunków i pakuneczków. Panowie kupcy z rozpromienionem radością obliczem zacierają ręce i bardziej jeszcze niż zwykle ugrzecznieni zwracają się do nowego przychodnia, by i jemu usłużyć i zaopatrzyć go w to wszystko, czego tylko potrzebować może. Kupujący znów w wielkim jest ambarasie, bo wszystko piękne, ładne i składne i w dodatku niby niedrogie — więc chciałoby się zakupić i to, i tamto, i jeszcze coś innego — a razem wzięte te drobnostki dosyć sporą, dosyć okrągłą przedstawiają sumkę. Więc chętka posiadania i zadosyć uczynienia próżności, toczy walkę z rachunkiem i kieszenią i wreszcie wychodzi z niej zwycięzko, zupełnie tak jak kupujący ze sklepu.

Każdemu przytem pilno i spieszno, bo po krótkim i posępnym dniu zimowym, wieczór już zachodzić zaczyna, a tu tyle jeszcze interesów do załatwienia, tyle ciekawych rzeczy do oglądania zostało... Wprawdzie niektóre z nich nietylko nic nie tracą przy gazowem świetle, ale przeciwnie wiele nawet zyskują. Do takich mianowicie należy bazar urządzony w salach redutowych na dochód Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. A przyznać trzeba, że urządzono go prawdziwie pięknie i gustownie. Gustownie, bo całość dobre dla oka sprawia wrażenie; pięknie, bo w pięknych namiotach czy sklepach, piękne panie, piękne sprzedają towary. A towary te nietylko są piękne, ale mają być także dobre i niedrogie. Za dobroć ich poręczają firmy pierwszorzędnych naszych kupców, za taniość — cel dobroczynny... bo gdybyśmy nawet jaką bagatelkę cokolwiek przepłacili, pocieszać się możemy tem przekonaniem, że spory procent od zapłaconej przez nas ceny wpłynął do kasy zakładów dobroczynnych. Warszawa słynie z dobroczynności, więc też w bazarze, zwłaszcza wieczorem, kiedy tysiące świateł zapłonie, i zabrzmi muzyka dzielnie kierowana przez pana Lewandowskiego — panuje formalny natłok, tak, że przecisnąć się prawie przez sale redutowe niepodobna. Do tego wszystkiego w niedzielę urządzono jeszcze tombolę, w której każdy bilet wygrywał. Że goniących za szczęściem, — choćby tylko tą drogą—była liczba ogromna, tego mówić wam nie potrzebuję; wiecie o tem sami, bo i z was każdy zapewne, stara się gonić za szczęściem! Dosyć, że bazar powinien był przynieść znaczny dochód zakładom dobroczynnym czyli innemi słowy, że cel w jakim go urządzono w zupełności został osiągnięty. Towarów wprawdzie pozostało dosyć, ale podobno panowie kupcy zrządzone jednego dnia braki, nazajutrz, przed otwarciem bazaru nowemi zastępowali zapasami. A wreszcie i przy małej przedaży duży można mieć dochód. Dowodem tego oba Kuryery, w których czytamy o różnych dobroczyńcach ludzkości, płacących za paczkę papierosów rs. 25 lub za krawat rs. 15. Nam jednak, lepiej jeszcze podobał się postępek owego pana, który ku-

Kraszewskiego tę część ówczesnego społeczeństwa która w nauce reformy religijnej fałsz i zgubne dla kraju widziała obałamucenie umysłów, a przeto w obronie wiary ojców i tradycyi, życie i wszystko co jej było drogiego poświecić była gotową, tak pan pisarz przedstawia nam ówczesny zastęp ruchliwych a głodnych nowości umysłów szlacheckich, którzy nietylko sami onych dysydenckich nauczek chętnie słuchali, ale radzi szerzeniu się ich w kraju apostołom reformy dawali u siebie przytułek, pozwalając niekiedy, jak powiada autor pod pozorem obrony wolności sumienia gwałt sumieniom zadawać.

Te dwa żywioły, które podówczas ścierały się w kraju, w powieści naszej, również występują z sobą do walki interesującej tymbardziej, że do niej staje silny przekonaniem i charakterem niezłomny a liberalnemi pojęciami zachodu wyemancypowany młodzieniec, przeciwko ojcu równie nieugiętej woli i równie niewzruszonemu w swoich religijnych wierzeniach i przywiązanemu do tradycyi wojewodzie. Pan pisarz przy pierwszej z synowcem rozmowie o potrzebie wytrwania w przekonaniach swoich, nieomieszkał napomknąć, że pan Bóg starszy aniżeli ojciec, i Januszowi w razie potrzeby gościnne u siebie obiecał przyjęcie. Do niego też, wyłamawszy z pomocą wiernego sługi rówiennika i jakiegoś z miasteczka kowala, kraty więzienia, zbiegł niezłomny w uporze surowością rodzica chłopiec; ojciec postanowił wyrzec się go i wydziedziczyć; instancye brata nic nie pomogły, między nim a wojewodą do zupełnego niemal przyszło zerwania.

W jednej z rozmów między braćmi które zerwanie to poprzedziły: „patrz że na świat, powiada pisarz wojewodzie — nie pora już heretyków palić, bo by mało kto żyw został; nawrócenie zostaw Bogu i czasowi. Zresztą, kto ci ręczy, że ty się nie mylisz?“ „Kto? kościół“ odpowiada wojewoda. Pisarz się uśmiechnął, „a no który? — Jest ich dosyć!“ „Ja jeden znam—surowo odparł wojewoda—a rozprawiać o tem nie chcę i niebędę. Zostaw mnie z moją starą wiarą w pokoju.“ Próżno pisarz powoływał się na Zborowskich, Radziwiłłów i inne znakomite rody, w których synowie ojców odstali i bracia z braćmi się rozdzielili, jeden do zboru drugi do kościoła, a przecie jeden drugiego nie wyklina — wojewoda pozostał niewzruszonym; nie mam syna, odpowiadał krótko.

W walce słabi pierwsi zwykle padają, wątła i wrażliwa wojewodzina pierwsza życiem przypłaca nieubłaganą surowość męża, odstępstwo od wiary jedynego syna, wyparcie się i wydziedziczenie go przez ojca.

Złamany boleścią Janusz ze stryjem na pogrzeb matki przybywszy przy trumnie spotkał się z ojcem; wojewoda niepozdrowił przybyłych, zdawał się ich nie widzieć. Pisarz raz jeszcze w interesie synowca, chciał zmiękczyć serce ojcowskie, tym razem między braćmi do tak gwałtownej przyszło zwady, że wojewoda, którego nikt nie widział, aby kiedy panem siebie być przestał: „panie pisarzu, rzekł głosem drżącym, niedraźnijcie mnie, bom niezwykł znosić obelg bez pomsty. Mogłaby się polać krew braterska.“ Ale gniewem zapalony wzrok padł na okno, przez które kościół widać było, wojewoda w piersi się uderzył, czapkę porwał i wybiegł drzwi za sobą zatrzaskując z łoskotem. Pełne są życia i charakteru rozmowy wojewody z pisarzem, zdaje się że niepodobna odmalować lepiej dwóch ludzi, obu synów jednej epoki, tak różnych jednak pojęciami i temperamentem.

Żelazny człowiek—jak nazywał wojewodę brat, straciwszy wszystko co kochał na świecie, zachował ciągle zwykłą powagę i surowość, trwał niezłomnie w postanowieniu względem syna, ale obojętnego napozór, toczyła zgryzota i życie coraz niepodobniejszem mu było.

Pan pisarz nie wskórawszy nic u brata postanowił sprawę przed króla wytoczyć, w tym celu z odpowiednią ostentacyą ruszył do Krakowa. W kamienicy na rynku zamieszkał przybyły tu niedawno Hennichen, ów złotnik z Wittenbergi, który widząc tęsknotę i bladość na twarzy ukochanej córki po odjeździe wojewodzica wybrał się do Krakowa, niby jakieś drogie kamienie królowi polskiemu sprzedawać.

Pan pisarz o ile tolerował religijne przekonania synowca o tyle oburzał się na samę myśl jego z Niemką, a do tego mieszczką połączenia. Próżno Janusz mówił mu, że stary złotnik bogactwa posiada ogromne a przytem dyplomy szlacheckie z pieczęcią w srebrnej puszce przez samego cesarza mu udzielone. „Jak Niemiec szlachcicem być może!” wołał pan pisarz — „To wszystko chłopstwo!” Łatwy w ogóle do ustępstw pan pisarz tym razem był niewzruszony: „niech ród wygaśnie lepiej, niżby miał sparszywieć” mówił do siebie—tymczasem, Janusz błądząc po ulicach Krakowa, zobaczył płową głowę w oknie kamienicy w rynku, a nawpół nieprzytomny z radości wbiegłszy na schody stanął przed kochanką. Pokazali sobie pierścionki; tego wieczoru Fryda śpiewała pieśń o słowiku, którą żegnała Janusza gdy opuszczał Wittenbergę.

Ale boleść ciężka czekała go wkrótce po tej znikomej radości. Przybyły z nim do Krakowa stryj, spotkał na ulicy starego dworzanina wojewody, od którego dowiedział się, że brat przyjechawszy niedawno do miasta ciężko zachorzał. Zapominając wszelkich uraz pan pisarz za chwilę znajdował się w jego kwaterze. „Żalazny człowiek” złamany bólem przyjął go na łożu, z którego już powstać nie miał, krótko trawiąca choroba walczyła z tą silną na pozór naturą. Wojewoda gasł w oczach, zawsze spokojny, jednając się z Bogiem, obdarzając sługi; synowi jednak mimo prośby brata nieprzebaczył. „Gdy nawróconym będzie, mówił do siedzącego przy łożu, dasz mu moje błogosławieństwo?”

Januszowi powtórzono słowa ojca; walczył z sobą biedny młodzieniec, męczył się, nowej nauki porzucić nie chciał, ale biegł przy łożu konającego przyklęknąć; nim przybył, wojewoda skonał.

Widok człowieka sprawiedliwego w godzinach ostatnich i zgonu, o jakich z żywotach świętych zasłyszał chyba pan pisarz, wielkie na nim zrobił wrażenie i do dawnych przekonań nawrócił.

Teraz uważał się on niejako za spadkobiercę woli zmarłego. Żądał więc od synowca, aby „szwabskich nowinek” się wyrzekł i do wiary ojców powrócił. Wobec nieugiętego uporu chłopca z żymał się i cierpiał, oznajmił mu wolę ojca i wydziedziczenie a nawet zagroził, że sam go się wyprze, jeśli poruszyć nie zdoła; „ja dziś tego żelaznego człowieka reprezentuję, mówił, i muszę żelaznym być... i będę!”

Hennichen tymczasem, albo raczej gospodarz jego teraz, a niegdy uczeń, złotnik krakowski niejaki Wiliams, chcąc radzić gościowi wedle swego rozumienia, pod pozorem sprzedaży taniej sreber, zaprosił pisarza do domu swego, gdzie przybyłego uderzyły naprzód ogromne bogactwa w naczyniach i kosztownościach nagromadzone, a potem urocza postać dziewczyny, którą ujrzał w sąsiedniej komnacie. Pan pisarz domyślił się poco go tam przyciągnąć usiłowano: „mów prawdę, chytry człowiecze!—odezwał się ponuro—nie ta to jest piękność, co głowę zawróciła synowcowi memu, a cóż? to srebra w posagu!“ Na wspomnienie o zaręczeniu kochanków oburzył się pisarz, „Hennichen jest szlachcicem—mówił złotnik krakowski, rozwijając dyplom—mianowanym przez cesarza.“ „A myśmy szlachtą mianowaną przez samego Pana Boga!—krzyknął—to coś więcej znaczy.“

Czy autor malując zaślepienie pychy szlacheckiej, nie poszedł zadaleko? Czy podobna

---

piwszy jakąś bagatelę, zapłacił za nią rubli kilkanaście i kupionego przedmiotu wcale ze sklepu nie zabrał. Ekscentryczniej jeszcze znalazł się przed kilkoma laty jakiś magnat węgierski, który wszedłszy do sali bazarowej urządzonej w celu wspomożenia dotkniętych głodem madziarów, zbliżył się do namiotu pięknej i młodej hrabiny Zichy i zapytał ją, co może kupić.

— Wszystko, co jest w sklepie — odrzekła hrabina.

— A więc, pocałunek pani...

— Dziesięć tysięcy florenów, była odpowiedź.

Po chwili dziesięć tysięcy florenów leżało już na stole przed piękną hrabiną—magnat cieszył się wspomnieniem otrzymanego pocałunku, a kilka tysięcy cierpiących dokuczliwy głód madziarów, błogosławiło ekscentrycznego magnata i pełną fiilantropii i poświęcenia hrabinę.

U nas ani ekscentryczność ani filantropia nie zaszły jeszcze tak daleko i dlatego członkowie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności nie poprześtając na dochodzie, jaki oddane ich opiece zakłady osiągną z bazaru, pomyśleli już o nowem złotodajnem źródle i oto za dni parę zapraszają nas na przedstawienie teatru amatorskiego. Tam to chętni i zdolni zapewne amatorowie, oprócz części muzykalno-wokalnej, podadzą nam *List*, który zawsze chętnie odczytamy, choćby tylko dlatego że pisał go Aleksander hr. Fredro — i zapoznają nas z *Pierwszym mężem*, który pogrzebany kilka lat temu na warszawskiej scenie w przygotowanej mu przez dzielnego francuskiego majstra Feuilleta, *Popielnicy*, odrodził się jak feniks i zapomniawszy o epoce Ludwika XVI, w której żył poraz pierwszy — zmartwychpowstał w czasach nam współczesnych i na naszym gruncie. Czy mu z tą zmianą stroju i nazwisk, bardziej niż przedtem będzie do twarzy — wkrótce zobaczymy.

Ale że czekać nie lubimy więc tymczasem pocieszać nam się trzeba czem innem, choćby już tylko włoską operą. Rozpoczęła ona swoje popisy na naszéj scenie przedstawieniem *Afrykanki*, Meyerbera, po której odśpiewano *Bal maskowy*, Verdiego. W *Afrykance*, ustępy zbiorowe szły bardzo dobrze, chóry i orkiestra zasłużyły na pochwałę, a soliści... na ten raz wolimy o nich zamilczeć, przypuszczając, że się może jeszcze nie rozśpiewali i że przejście z Afryki do naszego klimatu było dla nich zagwałtowne. W tem ostatniem przypuszczeniu utwierdza nas poniekąd wykonanie *Balu maskowego*, którym tegoroczna armia pana Ciaffei starała się salwować swój honor, co jej się nawet przy pomocy pani *Mariani Deangelis* i tenora pana *Desanctis*, wcale nie najgorzej udało. Z tego wszystkiego da się wyprowadzić ten wniosek, że w tegorocznym sezonie możemy się spodziewać niezłego wykonania oper lżejszych, zwłaszcza mistrzów włoskich, ale od słyszenia wielkiej muzyki powstrzymać się nam wypadnie... Ha! kiedy już takie przeznaczenie, to będziemy się kontentować rzeczami lżejszemi a podobno i najlżejszemi nawet; miejscowa bowiem nasza opera komiczna przeszedłszy pod reżyseryą pana Chodźki, szykuje się do boju, który rozpocząć zamierza za dni kilka *pokazaniem* nam operety p. n. *Córka pani Angot* z muzyką Lecoqua. Czy rzeczywiście użyliśmy dobrego wyrażenia i czy wystawienie tej opery będzie tylko ucztą dla wzroku — o tem przekonamy się niezadługo, chociaż, o ile wiemy,

przypuścić, aby pan pisarz człowiek wykształcony, urzędnik koronny, któremu dzieje, porządek państwowy, nie mogły być obcemi, który i sam pewnie na zachodzie bywał — mógł nierozumieć, że wszelkie szlachectwo, tak w kraju jak i zagranicą, jest przywilejem, przez panującego nadanym, a niczem więcej? mógł wprawdzie przeciwnym być do końca związkowi synowca z Niemką, a do tego córką mieszczucha, boć świeże szlachectwo i w kraju ważono niewiele, choćby nawet nadane przez króla salvis legibus de scartabellis—ale nazwanie wszystkich Niemców chłopstwem, przyznawanie szlachcie polskiej przywileju, jakoby od Boga nadanego, jest może nieco zaśmiałym rysem powieścio-pisarskim, do odtworzenie żywego ówczesnych pojęć użytym.

W parę dni po opowiedzianych wyżej wypadkach, rozruch się zrobił na ulicach miasta, dwa zbrojne poczty, jeden niemiecki, drugi z dworzan i pacholąt złożony, galopaniały ku bramom miasta, rozpytując po drodze czy nie widziano gdzie wyjeżdżających mężczyzny młodego z kobietą;—widziano ich, jechali co koń mógł wyrwać i kędyś ku Tenczynowi się skierowali; obie jednak pogonie, jedna z pisarzem na czele, druga ze starym złotnikiem z Wittenbergi, pomimo wysileń wielkich wróciły wyczerpane na siłach, a ojciec pięknej Frydy i stryj nieszczęśliwego Janusza, upadli zupełnie na duchu.

Stary złotnik niedługo przeżył boleść po stracie jedynego a tak ukochanego dziecięcia; pan pisarz żył dłużej, umarł doczekawszy lat późnych w smutku i osamotnieniu rozporządziwszy pierwej, aby na pogrzebie jego tarczę rodową rozbito.

W wiele lat później, ojciec Franciszek bogobojny zakonnik w Krakowie, szlachcic rodem, ale sługa i rówiennik Janusza, który z nim razem do Wittenbergi jeździł, a potem w ucieczce towarzyszył, powrócił jednak z tęsknoty do kraju, ale związany słowem, miejsca pobytu zbiegłych nie wyjawił i w ciszy klasztornej smutny, zniechęcony do życia, zamknął się—szukał jubilera, któryby zepsutą monstrancyą zreperował. Gdy przyszedł do niego młody rzemieślnik ojciec Franciszek o mało nie krzyknął tak Niemczyk twarzą i głosem wojewodzica przypominał.

Miał on na palcu pierścień herbowy, ale o rodzicach wiedział mało: mieszkali w Hollandyi, biedni, ojciec był jubilerem nie długo przeżył żonę i dzieci dwoje, i umarł w szpitalu. Uwiadomiony o tem ówczesny dziedzic mienia Rochitów, boczny ich krewny, chciał chłopca wziąć do siebie i losem się jego zająć, ale Niemczyk i słuchać o tem niechciał, przyjąwszy tylko zapomogę na wyzwolenie i założenie warsztatu i do Hollandyi powrócił.

„I więcej o nim w Polsce niesłyszano." Tak się kończy „Powrót do gniazda."

Piękny ten utwór przenosi nas całkiem w czasy, z których treść autor do niego poczerpnął. Postaci, które czytelnikom przed oczy stawił, pozostaną w pamięci nie jak figury obrazu, ale jak istoty żywe, które się niby znało, patrzało na ich sprawy, było świadkiem ich boleści i upadku. Zdaje nam się, że to co mówimy jest najwyższą pochwałą, jaką oddać można tego rodzaju utworom. Nie wielu z dzisiejszych pisarzy takie rzeczy nam daje, a może—boimy się, czy nie osobiste upodobanie w talencie i sposobie traktowania obranych przedmiotów Kraszewskiego nas unosi—nikt dać nam takich nie jest w stanie. Mówimy przedewszystkiem, o plastyce utworu i wielkiej precyzyi i trafności w odtwarzaniu szczegółów—przymiotach, które pisarza naszego wyżej od współczesnych mu pracowników na tem polu stawiają.

Oprócz pierwszych postaci utworu, inne, takie jak Wojewodzina i proboszcz w Rochowie staruszek, robią na umyśle czytelnika głębokie i poważne wrażenie. Rozmowa matki z synem, w owym lochu do którego wojewoda zamknąć kazał trwającego w herezyi i oporze przeciw jego rodzicielskiej władzy Janusza, należy do piękniejszych ustępów utworu. „A jestże mądrość, któraby warta była cnoty" mówi tam do syna. Wojewodzic wspomniał matce o swojej miłości, wojewodzina pognębiona przed chwilą wyznaniem przywiązania do herezyi, jakie z ust syna usłyszała, przeczuwa cios nowy: „Nie rozumiem cię, mówi, znów trzymasz mię na mękach. Jeszczeż więcej nad to co jest, potrzeba było utrapienia...." Ale jakby lękając się szemrać przeciw dopuszczeniom bożym i kruszącza to mimowolne narzekanie, dodała: „Bądź wola Twoja Panie!" Zostawiwszy syna w lochu, poszła chwiejąc się do łoża, na którem w krótce staremu proboszczowi ostatnie macieżyńskie błogosławieństwo zbłąkanemu oddać polecała. Kapłan próbował również wpłynąć na opornego młodzieńca, utrzymującego, że raczej umrze w lochu a dla ocalenia swego, sumieniowi kłamać nie będzie: „moje dziecię—rzekł—zdumiewam się twej cnocie; lecz jesteś ty tak pewny, że zrodzona od niewielu lat prawda, a przez cię od niedawna przyjęta, jest nią istotnie, że to nie obłęd ludzkiej dumy i próżności....."

(*dok. nast.*)

MOZAIZM

według Edgara Quinet'a

przez

EDWARDA CHŁOPICKIEGO.

I.

Jehowa.

Wytwarzające się jedne z drugich religie Wschodu, składają jeden kościół. Wiara w słowo i światło powstała z pierwszego hymnu, i przy jego to ognisku zapalił się plemienny duch Azyi, przelany następnie w głąb Afryki. Wiary te złączone z sobą i żyjące jednem życiem, usadowiły się jakby na trójnogu, na dogmacie Trójcy. Wszak tu właśnie poczyna się dla historyka trudność osądzenia: w czem się mianowicie zawiera związek pomiędzy Judeą i tym powszechnym kościołem pogańskiego Wschodu? jakie dać miejsce narodowi żydowskiemu, pośród tej wielkiej religijnej ludów jedności? do jakiego wyłącznie społeczeństwa przyłączyć go? jeżeli do Egipcyan, jak to próbowano niejednokrotnie, w takim razie, gdzie jest następstwo oraz wzajemny związek, między kapłaństwem Memfisu i Jeruzalemu, między Hermesem i Mojżeszem, między Ozyrysem i Jehową? Nie, nie szukajmy ich tam, to daremne! Jak w łańcuchu ciał organicznych, napotykają się niekiedy luki i przedziały, niedające się niczem napełnić *hiatus'y*, tak i pomiędzy Ozyrysem a Jehową, poza stopniowym i sukcesyjnym rozwojem form—najzupełniejszy rozbrat, rewolucya! Adonai i Eloha, przedstawiają tylko stopniowy rozwój babilońskiego Baala, fenicyjskiego Adonisa, tyryjskiego Herkulesa. Gdybyśmy podnieśli jak najwyżej ducha tych bóstw; nie doprowadzilibyśmy go nigdy do pojęć o Jehowie. Poprawiaj, upiękniaj, dodełniaj ile chcesz Baala lub Astarte, nigdy z bóstw Chanaanu, nie zrobisz boga Mojżesza. I skądże to pochodzi? Oto stąd, że bóstwa wcielone w przyrodę, tworzą z nią jednę całość; że ziemia jest ich stopami, strop niebieski — czołem, gwiazdy— okiem. Dla Jehowy zaś taż sama przyroda nie jest nawet zewnętrzną szatą, on ją może — jeżeli chce — przerobić i zniszczyć. Powiew wiatru, to nie jego tchnienie, a jego posłaniec; gwiazda nie spojrzenie jego, a — jego niewolnik; świat nie jego wizerunek, ozdoba, światło, słowo — a tylko echo jego, czyli *nic* wobec jego wielkości.

---

muzyka ma być świeża, efektowna i co najważniejsza całkiem oryginalna. Czekamy jej niecierpliwie, a w następnej pogadance wyspowiadamy się przed wami czytelnicy z doznanych wrażeń.

Tymczasem w teatrze cisza, bo jakkolwiek słychać coś o Szylerze i Szekspirze, są to jeszcze rzeczy dosyć odległe i podobno z ostatnim z tych geniuszów spotkamy się prędzej na półkach księkarskicih. Jest to nowina, która zapewne dla czytelników naszych obojętną nie będzie... powiedzmy więc o niej słów kilka. Oto współka wydawnicza kięgarzy warszawskich powzięła myśl wydania wszystkich dzieł Szekspira w języku polskim. Przekłady będą wzorowe: wejdą do nich prace St. Koźmiana, Ulricha i Paszkowskiego; redakcyą i kierunek przyjął na siebie I. J. Kraszewski — to, jak sądzimy, rękojmia dostateczna. Panowie księgarze ze swej strony, starać się będą, aby szata zewnętrzna tego wydania odpowiedziała wewnętrznej wartości dzieła. Wydanie ma być bardzo piękne a zdobić je będą ilustracye wzorowo narysrwane i wykonane przez artystów francuskich pomieszczone w ostatniej edycyi dzieł Szekspira wydanej w Paryżu staraniem *Hachette'a*. Słowem będzie to książka, która nawet służyć będzie mogła za piękny padarunek na gwiazdkę...

Stanie się to jednak dopiero w roku przyszłym, a tymczasem o mało nie zapomnieliśmy, że tegoroczna gwiazdka już, już ma zabłysnąć — ba! może nawet w chwili kiedy te słowa dojdą rąk waszych mili czytelnicy — siedzieć będziecie w gronie rodzinnem za wilijnym stołem — a gwiazdka Betleemu unosić się będzie nad głowami waszemi, przyświecać wam i dalszy w drodze życia wskazywać kierunek... Dzień wilijny jest prawdziwem świętem domowego ogniska — i żaden może inny dzień w roku nie sprzyja tak bardzo wylaniu na zewnątrz ciepłych uczuć rodzinnych... W dniu tym bowiem, zarówno w pałacu jak w ubogiej chatce zgromadzona rodzina magnata lub biedaka zasiada do wspólnej uczty, przed którą łamiąc się białym chlebem i składając wzajemne życzenia, zapominała o różniących ją w powszdniem życiu niesnaskach, darowała urazy, pragnąc godnie uczcić Narodzenie Boga przebaczenia i jedności.

Powiecie może, że to tylko zwyczaj — zwyczaj, jak wiele innych, niedorzeczny a nawet szkodliwy, bo nam w tym lub innym ekonomicznym względzie szkodę lub uszczerbek przynosi... O! gdybyście coś podobnego powiedzieć chcieli, wstrzymajcie się póki czas jeszcze abyście później nie żałowali słów lekkomyślnie w świat rzuconych... Zwyczaj o którym mowa jest tak piękny, tak głęboki, tak zgodny z duchem chrześcijańskiej naszej wiary i zasadami Zbawiciela, że nietylko pozbywać się go niegodzi, ani zapominać o nim, ale przeciwnie świętym jest naszym obowiązkiem utrzymywać go i szanować. Czyliż nam nie dosyć roku całego na to, abyśmy żyli rozumem? niechże nam więc zostanie choćby ten jeden dzień tylko, w którym moglibyśmy żyć sercem i uczuciem. Niech płyną szczere słowa życzeń wzajemnych, niech się rozwiążą języki nasze i serca a przy łamaniu się opłatkiem niech zginą raz na zawsze wszelkie ukryte myśli, podstępne intrygi, podejścia, niesnaski i zawiści. Niechaj ten opłatek dokona dzieła zgody i zjednoczenia, do czego i my dorzucamy szczere i z głębi serca płynące: Szczęść Boże!

Ażeby znaleść dla hebrajskiego Boga jakiś związek pewny, trzeba się odnieść aż do zasadniczego prawa wiar azyatyckich, trzeba dotrzeć do pierwotnego bóstwa, owego tajemniczego i nieprzeniknionego wszystkich innych źródła, jednem słowem do indyjskiego Bramy, czy perskiego Zerwan-Akerena, tego co sam przez się był ojcem bogów i wyprzedzicielem wszelkiej potomności. Z tym to przedwiecznym starcem, pozbawionym małżonki, synów, towarzysza i rodziny, Jehowa hebrajski jest blisko spokrewniony. We wszystkich innych wiarach, wielki ten samotnik ukazuje się najprzód niewyraźnie; następnie przykrzyć sobie zaczyna śród otaczającej go dokoła samotności; i wreszcie wciela się, upada i znika pod postacią świata, wyczerpawszy wprzód boskość swoję na udzielanie się przedmiotom zewnętrznym.

W wielkości to pierwszych dni istnienia, w czci nienarodzonego światła, analogia pomiędzy Jehową a bóstwami niewcielonemi objawia się najwyraźniej. Tam z oceanu światła, bierze on swój początek; przez nie — w płomieniu pochodni ukazuje się Abrahamowi, w palącym się stosie Izaakowi, w płonącym krzaku i błyskawicy, z których się zakon promieni — Mojżeszowi, w kolumnie ognia — Salomonowi i Eliaszowi. Tym sposobem jego jasne oblicze świeci zpoczątku na niedościgłych wyżynach; z postępem czasu staje się on coraz bardziej widomym, rosnącym i jak lud jego powiększającym się; aż wreszcie przyodziany w wełniane szaty, podobnie jak król Dawid, w obec Izajasza i Ezechiela, zasiada na ognistym tronie. Jeżeli spółzawodnictwo Baala i Astarte było dlań w ciem niebezpiecznem, to w tem mianowicie, że bóstwa te, chociaż powstałe z cielesnego światła, miały wszakże pewne powierzchowne podobieństwo z duchową hebrajskiej religii zasadą, co się udowodniało najbardziej pewnemi ozdobami świątyń hebrajskich. Czyż rozrzucone nad kapitelami palmy, granaty, oraz wycinane przez rzeźbiarzy tyryjskich lilie, nie są pożyczone ze świątyni słońca? Czyż siedmioramienne świeczniki nie przypominają siedm płonących planet? Czyż bronzowe morze, w którem koi pragnienie dwanaście byków świątyni, nie jest owym bez końca wracającym o dwunastu miesiącach rokiem indyjskim? W miarę powiększenia się swojego, bóstwo hebrajskie wszystkie napotykane na Wschodzie świętości, przyswaja sobie i oczyszcza je u swego ogniska. Bez obawy splamienia się, porywa ono pełne jeszcze cudzoziemskich doktryn, święte wazy Egiptu, Persyi i Chaldei. Za pomocą wyszłej z pomroki nocy Genezy, wiąże się z Egiptem; za pomocą tradycyi o potopie i babelu — z Chaldejczykami, za pomocą aniołów, Edenu i szatanów — z Medami i Persami. Nawet zwierzęta poświęcone, gryfy Magów, zjawiają się w jego religii pod postacią Cherubinów z głowami byków i z dziesięciołokciowemi skrzydłami. Tak przerabiając wszystko na swój ład, oryginalność Jehowy, oraz jego wyróżniająca się osobistość, objawia się najwybitniej w tym właśnie boskim rabunku.

Patrzcie jakie nieprzebyte przedmurze rozciąga on wokoło siebie; jak dzierżąc wszystko w swojem ręku, od wszystkiego odgradza się zapobiegliwie. Nie objawia się on, ani jak Indra pod usposabiającemi do bałwochwalstwa zwrotnikami; ani jak Ormuzd na górach Baktryany, w pobliżu rodzących cześć ognia źródeł ognistych; ani na wybrzeżach Nilu czy Eufratu, gdzie każdy karb fali może w sobie ukrywać szemrzące bóstwo. Gdzież więc chciał się ukazać i gdzie się mniej więcej ukazał? Ukazał się w pustyni — t. j. w miejscu, gdzie przyroda nieobecna, gdzie świat kończy, gdzie nie mą nic, coby mogło z nim współzawodniczyć, gdzie oprócz niego nikt nie mieszka, gdzie cień własny jedynym jego towarzyszem. Ukazał się on w nagości Horebu, jak Chrystus w nagości Betleemu. Prawdziwa to ojczyzna zazdrosnego bóstwa. W około niego cała przyroda rozszarpana i na ofiarę poświęcona, formy świata zatarte, ani rzeki tam, ani czczonego źródła, ani lasu, ani przydatnego na święte posągi metalu; wyjąwszy łoskot piorunu, wszystko tam martwe i pozbawione głosu. Zato oblicze Jehowy jaśnieje wszędzie samotnie śród próżni nieskończoności, wszędzie duch jego pod stropem niewidomej świątyni — obecny i jasny. Lud mający w sercu swem żywić to objawienie, gdzież wziął go? W pustyni. Jacyż są patryarchowie otrzymujący objawienie? Arabowie pustyni. Kimże był jego odnowiciel Mojżesz? — Pasterzem pustyni. Gdzie się kształcą pokolenia hebrajskiego ludu w ciągu lat 40-tu? Wpośród łomów kamiennych Arabii, lud ten na sercu swem kamiennem rzeźbi naukę pustyni. Zawsze i wszędzie, za wymówieniem imienia Jehowy, pustynia ukazuje się na widnokręgu. On jej geniuszem, mieszkańcem wiecznym. Gdy czczona przez wieki przyroda zdegradowaną została, dla łatwiejszego zamknięcia ludów w grobowisku świata usunąć się od nich musiała zupełnie. To właśnie było powodem nadzwyczajnego osamotnienia ludu hebrajskiego na nieogarnionych piaskach pustyni. Ludzkość skupia się duchem; śród ciszy świata cud boga-ducha dopełnia się w jej sercu. Napróżno krytycy chcą dowieść, że ucieczka z Egiptu jest fikcyą biblijną, alegoryą bez rzeczywistej podstawy; odbicie pustyni niezatartemi zgłoskami spostrzegać się daje we wszystkich postanowieniach Jehowy i w samym jego charakterze. Chropawe bruzdy tych hizopowych dolin, żużle tych skał rozdartych piorunem, groźby tej ziemi gniewu nigdy nieuśmiechniętej — odbijają się wyraźnie na jego obliczu. *Teror* jest jego prawem, wzrok jego, śmiercią. Wszystkie inne bogi mają swoje przybytki, swoje świątynie; on jeden błąka się bez przytułku. Co chwila przenosi gdzieś indziej swój namiot. Nigdzie zatrzymać się nie chce, by nie przyjąć postaci jakiegoś miejsca. Nie jest on bóstwem góry ani bóstwem doliny: koczuje jak duch, zamieszkujący wszędzie jednocześnie. Tylko w kilka zaledwie wieków po swojem objawieniu, zgadza się on nareszcie wejść do świątyni, — ale to już wtenczas, kiedy wizerunek jego dopełniony rozwojem inteligencyi nie mógł się zasłonić wizerunkiem świata. Wędrujący Bóg zatrzymał się w Judei. Było to ziarnko życia, które popchnięte huraganem, padło wreszcie śród bystrego pędu na urodzajną glebę. Tam się ono zapładnia i w miejscu hord błądzących bez postępu, bez jutra, królestwo Judy poczyna kiełkować. Gdy wszakże królestwo to znikło a świat po dawnemu gotów się był wpisać w poczet Jehowy: zawrócił on znowu w dziedzinę bezbrzeżnego osamotnienia. Sam Chrystus przed swojem objawieniem w ciągu dni 4-ch kroczył za śladami ojca po piasku nie pokalanym. Nieco później bałwochwalce pojednali się z nim w pustkowiach Tebaidy. Mahomet nawet chcący nakłonić ludy Wschodu do wiary w Niewidomego, wyszedł także z Arabii kamienistej; i tym sposobem raz jeszcze zjawiły się w świecie dwie widome postacie wieczności — ocean i pustynia, — obie zarówno odbijające swoje piętno na duchu wiar ludów Wschodu. Jedna z tych postaci rusza się, miota, gniewa się oraz uspakaja jednocześnie i z burzliwego łona swego wydaje zmienne bóstwa Indyów i Grecyi. Druga, bez głosu, bez następstwa po sobie, bez form widomych wyłania z siebie tylko Boga-ducha, równie nieruchomego, nieubłaganego i nieskazitelnego jak ona sama. *(d. c. n.)*

Korespondencya „Ogniska Domowego.“

(z zagranicy).

Lwów, *w grudniu.*

Mając już raz szczęście przedstawić się wam, najzacniejsi, i najpiękniejsze, w kusym fraczku i w białym krawacie, spieszę dziś z drugą mniej etykietalną wizytą... Więc nasamprzód o zdrowie uprzejmie pytam.... Hm? co..? Czy nie chorujecie tak samo jak my, może wam nawet i kawałka ziemi na schowanie ciał już braknie... U nas rzeczywiście coś podobnego się dzieje, jak to w zupełności potwierdzają uchwały komisyi zdrowia, Rady miejskiej.

A są one takie: 1) Zawezwać magistrat, ażeby przyśpieszył urządzenie nowego cmentarza, pomiędzy dwoma przedmieściami, a natomiast zamknął cmentarz już przepełniony. 2) Zawezwać magistrat, ażeby rozszerzył wspaniały cmentarz Łyczakowski (pięknością położenia i pomnikami przewyższający z pewnością *Pere-la-Chaise*. Uw. koresp.) zamało na nim jest bowiem miejsca.

I cóż wy na to.... Zaludnia się „miasto umarłych“ w tym samym prawie stosunku, w jakim miasto żywych wzrasta.... Ciekawe to dane statyczne, które skrzętnie i zręcznie zebrał p. Tadeusz Romanowicz, naczelnik miejskiego biura statystycznego. Owocem tej pracy: „Rocznik wiadomości statystycznych o mieście Lwowie.“

Tak jest! Lwów to miasto stutysiączne prawie, co w łonie swem dźwiga około dziesięć tysięcy pracujących umysłów, a w liczbie tych ma siedemdziesiąt mózgów literackich i dwieście kilkadziesiąt artystycznych.... Cyfry te pewien uśmiech na usta ściągają, litować się bowiem trzeba nad istnem w tej mierze zacofaniem. Nie potrzebujemy się jednak rumienić za inne pozycye. Gród zajmujący czwarte w rzędzie austryackich miast miejsce, obfituje przedewszystkiem w płeć najbielszą a między tą w panny i wdówki. Tych ostatnich mamy przeszło pięć tysięcy.... Co do wyznań przeważa tu rzymsko-katolickie, unitów jest niemało, więcej od nich żydów, dzierżących, jak to już wspominaliśmy cały handel w swych szponach. Smutno też przyznać, iż około 50,000 osób pozostaje bez zatrudnienia!

Miasto co rok zasila się nowemi żywiołami, tak, że kilka tysięcy domów nie wystarcza; wzięto się więc ochoczo do przybudowania własności prywatnych. Ruch budowniczy w mieście panował obecnie nader silny. Główną doń zachętą było niezawodnie uwolnienie nowych budynków, przebudowań i dobudowań, które staną pomiędzy rokiem 1874 a 1876, od opłaty prawnych podatków przez 25 lat, z drugiej zaś strony przyczyniło się przeświadczenie, iż kamienice w naszych stosunkach, to najlepsze źródło dochodu!

Nauczył nas tego wiedeński *Krach!* Nadmienić jeszcze wypada, że w ciągu r. b. odnowiono mnóstwo domów, a w wielu miejscach stanęły dachy ogniotrwałe tak, że Lwów nasz kochany zaczyna stawać się podobnym do znaczniejszych miast europejskich. Z publicznych budowli rozpoczęto stawianie gimnazyum, olbrzymiej akademii technicznej i szkoły ewangelickiej. Nie żarty!

Od statystyki krok tylko do literatury. Pisma tygodniowe *Ruch i Tydzień* walczą

zawzięcie. Ostatni jest widoczną spekulacyjką, podczas gdy pierwszy celuje starannością redakcyi i niezmierną ilością wysokiej wartości artykułów.

Lecz *à propos* „Ruchu“—redaktor jego pan Bronisław Zawadzki, wydał obecnie studyum o Mikołaju Reju. Jestto praca na głęboką uwagę zasługująca. Pióro zdolne, śmiałe, (może za śmiałe) pełne krytycznych warunków.

O rzeczy tej, która doznała słusznego powodzenia, pomówiemy jeszcze następnie, zarówno jak i o wyśmienitych „Uwagach“ pana St. Dobrzańskiego b. dyrektora sceny lwowskiej, o tejże scenie.... Broszura ta wywołała prawdziwą sensacyą.

Dalej podano nam studya p. Stanisława Smolki nad „Feudalizmem“ gruntownie obrobione i „Słownik rytowników polskich“ owoc poszukiwań i długich szperań p. Juliana Kołaczkowskiego. Słownik ów to nowość u nas zupełna, a tyle użyteczna.... Także przygotowuje się „Sobótka“ dzieło zbiorowe poświęcone Goszczyńskiemu i przeznaczone na wzmocnienie funduszu emerytalnego imienia wieszcza. Prenumerata ma licho wpływać.

Jużto spać lubimy i próżnować. Bywało tak dawniej a dziś z postępem także często bywa.... Zabawy, siesty nam się zachciewa...

Więcej niż książek wyprodukują u nas rocznie wiader piwa.... Chcecie przykładu? Służę: w samym wrześniu r. b. wywarzono w 136 gorzelniach galicyjskich, ogółem 2,629,065 opodatkowanych stopni alkoholu; w 184 browarach zaś wywarzono w ciągu tego samego miesiąca, 40,808 wiader piwa.... A ile wyprodukowały browary miejskie?.....

To się nazywa—prowadzeniem walki ekonomicznej.

Przybiera ona olbrzymie rozmiary w uściech naszych, w rzeczywistości jest nieco inną. Najzwyczajniej kończy się u nas wszystko na projektach, to też w ostatnich czasach p. Dobrzański wraz z kilkoma obywatelami zaprojektował dom zastawniczy, mający na celu wydarcie niezliczonych ofiar ze szponów lombardzistów izraelickich; dalej pan Czemerzyński, adwokat proponuje towarzystwo kredytowe miejskie a raczej bank *en-tout cas*; wreszcie p. Michał Kossak zakłada „spółkę posługaczy publicznych.“

Czy myśli te utoną w cieniach, czy je blask rzeczywistości oświeci?

Gdyby tak chodziło o *votum seperatum* przyznałbym, iż planom naszym wiary nie daję, bo często zbierałem zawody....

Wstyd przyznać, iż teatr, ta według wielkich pomysłów urządzana tylekrotnie instytucya, dziś znowu stała się areną igrzysk godnych jarmarcznej budy.... Powiedziałem kiedyś, iż zmieniały się tu formy rządu równo z deszczem.... Ostatnia jednak dopełniła miary.... Teatr pozbawiony przez nią takiego jak p. Dobrzyński artysty i kierownika, chroma najfatalniej. Wiatr hula po Skarbkowskim gmachu, nic zrażonej i niedowierzającej dzisiejszym dyrektorom publiczności nie ściągnie.... Sprowadzają tu komedyantów z całego świata. Zaangażowano znaną wam także panią Zimajer.... Napróżno! Sprowadzono (raczej odkradziono dyrektorowi teatru krakowskiego p. Koźmianowi) p. Ładnowskiego.... Jeszcze napróżno.... Ratunku nie ma, a skandal coraz większy, p. Ładnowski bowiem chociaż robi kontrakt po raz drugi, poenale jednak, (6,000 złr.), scenie krakowskiej nie płaci. Przerzucać się daje ten artysta jak piłką! Dziwy! dziwy! Długi wynoszą 40,000 złr., a publiczność na to głucha i niema, zarówno jak i wydział, który zamyśla sprzeciwić się utrzymaniu stałej opery....

Co to będzie, co to będzie, pytają przeciętni Lwowianie? Możemy odpowiedzieć: albo teatr przez kraj subwencyonowany, lub impreza prywatna, zawsze w działaniach swych mniej pożyteczna....

W skutek takiego szurum-burum, o nowych sztukach, ani marzyć, dano nam tylko jednę operę Dopplera, osnutą na tle dziejów Sobieskiego. Liche to i tylko świetna pomoc ze strony pani Jakowickiej, stałej gwiazdy na niebie lwowskiej opery, zdołała rzecz podtrzymać.

Przed rozpoczęciem karnawału i zabaw domowych, zapukali do wrót naszych mnodzy koncertanci, między nimi: Wilhelmj i Nieman. Mamy też wkrótce usłyszeć słynny t. z. *Kwartet Florentyński*, rozkosz melomanów tej półkuli....

Zresztą cicho, głucho, ciemno, a świtu znośniejszej doli, nawet z zaimprowizowanego obecnie na najwyższym punkcie miasta obserwatoryum trudno dopatrzeć. *Tristis.*

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY

w kuchni, kółku domowem i salonie.

RADY PRAKTYCZNE

dla młodych żon i panien,

streszczone z dziełka

MARYI CALM.

(Dalszy ciąg).

Takie kosztowne zebrania, smutnie oddziaływają, na bilans domowy, a i gościom, znającym dobrze stan waszych interesów, wcale się nie podobają. Wprawdzie podziękują wam oni uprzejmie za miły wieczór, ale nazajutrz pani A. odwiedzając panią B. nie omieszka się dyskretnie zapytać, skąd wzięliście środki, na takie sute przyjęcie, a znowu pani C. spotkawszy się z panią D. rozwodzi żale nad waszą dobrocią pobudzającą was do tak wielkiej dla przyjaciół i znajomych ofiary, którą bezwątpienia przez pół roku dotkliwie czuć będziecie!

I prawdę mówią; gdyż przyznajcie sami, że jeżeli nie głód to przynajmniej nadzwyczajna, niepraktykowana w domu oszczędność, daje dowód, że wieczór jeden zadużo kosztował i że potrzeba znowu przyjść do porządku. Ale, jeżeli gospodyni miała wielką przyjemność w kosztownem przyjęciu gości, to nietylko ona jedna ale i cała rodzina za tę płochość pokutować musi. Mąż, często podeszły w wieku, dzieci dorastające, muszą z nią razem byle czem się obywać.

Co do ubrania należałoby też zachować skromność i umiarkowanie.

Z rana, kiedy obca służąca wejdzie przypadkiem do przedpokoju, pani jest często tak nieporządnie ubraną, że się jej pokazać nie śmie, a wieczorem, szeleszcze jedwab, brylanty połyskują, wstążki i koronki, zaczepiają się o meble i jeżeli coś kosztownego się zepsuje, to na to nie ma rady, cóż zrobić, w tłoku zawsze się cóś podobnego przytrafić musi. Jeżeli pani nie ma nowej sukni woli nie iść na wieczór, aniżeli pokazać się tam w stroju, który raz już widziano.

Nie możemy tu także nie zwrócić uwagi naszych czytelniczek, na tak nazwane bale dziecinne.

Wszyscy pedagogowie i moraliści, uskarżali bezskutecznie się na ten zwyczaj, przeciwny ich zasadom, gdyż zwyczaj ten dotychczas jest w modzie. Nie powstajemy tu na tańce, gdyż te są nietylko przyjemne ale i pożyteczne, tańczyć jednak można wszędzie, w domu, w ogrodzie, na trawniku; mówimy tu o strojnych balach, na które dziewczynki ubrane, w tiul, krepę lub gazę—jadą o godzinie ósmej wieczorem, a wracają o 1-ej, lub o 2-ej w nocy; gdzie mali chłopcy, grając rolę dorosłych młodzieńców zaczynają się zalecać panienkom. Bal podobny, zajmujący małe główki przez jakie dni 8 naprzód i tyleż potem, smutnie oddziaływa na cały porządek, w zatrudnieniach dzieci a szczególniej w naukach.

Gdyby matki dobrze rozważyły niebezpieczeństwo, na jakie wystawiają swe dzieci, wywożąc je na podobne bale, zaiste nigdyby już więcej na takie zebrania przystać nie chciały.

Teraz przejdźmy do zwykłych codziennych naszych zebrań, wieczornych na które nasze panie przychodzą z robótką a panowie—bardzo dyskretnie się zachowują, gdyż ich najczęściej w podobnym salonie wcale nie ma. Zatem, to jest wieczorek damski, przerwą moje czytelniczki—tak damski gdyż za nim słychać tylko utyskiwania, na sługi, na bony, na guwetnanki, tam się naiwnie opowiadają rozmaite skandaliczne anegdotki, prawdziwe lub nie prawdziwe, o to się płeć piękna nie troszczy—bo.... trzeba przecież o czemś mówić.

Towarzystwa nasze, zwykle są nudne, z tej przyczyny, iż mężczyzni i kobiety, osobne kółka tworzą—pierwsi zasiadają do kart, drugie, po kątach szepcząc, oddają się z przyjemnością, niewinnym ploteczkom. A czy te ploteczki są rzeczywiście niewinne? bliżej rozpatrzemy. Damy nie ograniczają się na prostem wymienianiu faktów spełnionych, dodają swoje przypuszczenia przytaczając, na jakich zasadach, pozwalają sobie coś takiego powiedzieć, mówią to bardzo skromnie, pod sekretem, nikogo nie obmawiając; i tym sposobem, największy rozgłos, dają niewinnym tym drobnostkom. Takim sposobem rozsiewają się niesnaski, niezgody domowe, szarpie się honor bliźnich, zatruwa się nieraz całe życie podobną niewinną ploteczką. O! żebyście szanowne czytelniczki nad tem się zastanowiły, ręczę, że dobre serca wasze, i miłość bliźniego, nie dozwoliły by wam zajmować się podobnemi rzeczami. Z tego wszystkiego wypada, że towarzystwa nasze powinny-by uledz pewnej metamorfozie, kobiety i mężczyzni bawiąc się razem, położyli-by tamę damskim plotkom; ale czy rozmowa zyskała-by na większem urozmaiceniu, i uczoności? Wątpię—rozmowy towarzyskie dopóty będą czcze, dopóki, mężczyzni nie odwykną od zapatrywania się na kobiety, jako na stworzenia niższego rzędu a kobiety nie przestaną używać rozmaitych sztuk kokieteryi w celu podbicia i złowienia w swe sieci, wielbicieli; dopóty, powtarzam, towarzystwa nasze pozostaną czcze i nieznośne.

Jeszcze-by zostawał jeden punkt do rozebrania, mianowicie jak trzeba zapraszać gości. Panie, zapraszają w ogóle na wieczory wszystkich znajomych, bez względu czy skłonności, zdania, nauka, i wychowanie osób zaproszonych, odpowiadają sobie wzajemnie. Niewłaściwem jest, do towarzystwa li tylko niemieckiego, gdzie rozmowa w tym języku jest prowadzoną—wprowadzać np. francuza, nie posiadającego tego języka—jak również, do towarzystwa męzkiego, zapraszać jednę tylko damę—która nic nie wiedząc o polityce lub o literaturze nudziłaby się, i milczała przez cały wieczór. Otóż cały sekret, w wydawaniu wesołych i prawdziwie miłych wieczorków, zawisł na dobieraniu towarzystwa, a to zależy od gospodyni, równie jak i kierowanie rozmową; od kobiety zależy wybór, i cały nastrój towarzystwa, ona jedna tworzy kółka przyjacielskie, od niej jedynie zawisł dobry

lub zły ton domu.—Gdyby nasze panie o tem pamiętały, bezwątpienia więcejby na siebie zwracały uwagi, a szczerzej i usilniej pracowałyby nad swojem wykształceniem.

(*d. c. n.*)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

— Przed sześciu miesiącami przeszło i—w sposób trochę dziwny—ale o tem potem. Jak się nazywa konsul tutejszy, czy go znam?

— Zapewne—przynajmniej pochodzi z Nowego Jorku; nazwisko jego jest Hewes.

— Hewes? Znam adwokata w Nowym Jorku Alfreda Hewes.

— To ten sam.

— Istotnie? rzekł Jerzy zwolna i w zamyśleniu potrząsając głową, to, doprawdy, dziwne spotkanie. Musi jednak od niedawna mieszkać w Valparaiso.

— Za ośm dni będzie pięć miesięcy, jakieśmy tu przyjechali. Zjechaliśmy się w Panama. Ożenił się był niedawno przedtem, a podróż z Nowego Jorku do Chili była w pewnej mierze przejażdżką jego poślubną.

— Więc żonaty?

— Tak jest—i ma żonkę prześliczną—ale zarazem małego szatana ma w jej osobie. Jest ona postrachem dla domu całego.

— Boicie się jej? zaśmiał się Jerzy.

— Dalibóg wszelką do tego mamy przyczynę, zawołał Burton, bo ona robi, co chce, a chce wszystkiego, co jest przewrotne.

— Czy jeszcze młoda?

— Ma co najwyżej lat osiemnaście.—

— A piękna?

— Prześliczna—ale zaraz usłyszysz, jak gospodaruje na górze. Z całej duszy mi żal tego dziecka nieszczęśliwego. Obchodzi się z nią, jak z niewolnicą, a dręczy w sposób prawdziwie okrutny.

Burton uchilił nieco drzwi, w skutek czego Jerzy usłyszał z pierwszego piętra głos gderający, któremu odpowiadał drugi łagodnie błagająco,—ale zdawało się, że pani jeszcze iw większy popadła gniew; zaraz potem coś ciężkiego stoczyło się po schodach—w końcu słychać było cichy jęk.

Burton pomimo woli podskoczył o krok naprzód—ale wstrzymał się natychmiast, a zamykając drzwi na klucz, rzekł sucho:—Nie trzeba się nigdy mięszać w stosunki domowe, szczególniej, kiedy się jest dyplomatą a jeszcze bardziej, kiedy przez to można sobie zrobić nieprzyjaciółkę z pani Hewes. Będę się miał na ostrożności—bo mi się Valparaiso bardzo podoba—a w przeciwnym razie we trzy miesiące niechybnie miałbym dymisyą.

— Czy Hewes tak dalece jest pod pantoflem?

— Zupełnie, śmiał się Burton.

— Ale kto jest ta młoda dziewczyna, którą nazwałeś jej towarzyszką?

— Córka zbankrutowanego kupca z Nowego Jorku. Rodzina jej popadła w nędzę najostatniejszą. Syn jedymy, zamiast tym wytrwalej pracować, strzelił sobie w łeb, oboje rodzice w przeciągu czternastu dni umarli ze zmartwienia, — a biednemu dziecku nie pozostało się nic, jak pójść do służby—i do *takiej* służby — z pośród *takich* warunków!

— Jak się nazywali jej rodzice?

— Moorhouse.

— Wszak nie z firmy Moorhouse i syn?

— Ten sam.

— Boże wielki, wszak to niepodobieństwo! Nie więcej jak pół roku, od wyjazdu mego z New-Jorku — a wtedy jeszcze firma ta należała do najbardziej poważanych i odpowiedzialnych.

— W Ameryce żyjemy prędko — rzekł Burton — a nieszczęście rzadko przychodzi samo jedno. Jeden okręt spalił się im na otwartem morzu — drugi rozbił się o *Goodwin sands* — ani jeden, ani drugi nie był ubezpieczony. Jednocześnie zbankrutowały dwa domy handlowe — jeden w New-Orleans, a drugi w St. Louis, z któremi firma ta w bliskich pozostawała stosunkach — a stary Moorhouse zanadto był uczciwym — i wszystko runęło.

— Córce jego Alicya na imię?

— Właśnie — czy ją znasz?

— Ma się rozumieć — kochane, dobre dziewczę; często, bardzo często, widywałem ją w domu mojego ojca i u moich sióstr — biedne dziecię!

— Tak — biedne dziecię. Starałem się już o wyjednanie jej tymczasowo innego miejsca u jednej z rodzin chileńskich, z którą — jestem w przyjaźni. Naturalnie, że muszę się kryć z tem przed naszą lady, u której z tej przyczyny popadłbym w niełaskę na wieki. — Choć i tak nie bardzo mnie lubi i nieraz nawet nie raczy mi się odkłonić.

— Czy pochodzi z Nowego-Jorku?

— Lady? — Nie wiem, doprawdy; zdaje mi się, że jej rodzice dawniej mieszkali w prowincyach południowych. Gorącą krew ma w każdym razie. Ale o co się chciałem zapytać, Jerzy — do kaduka, dla czegoż masz na sobie prostą i to dobrze podniszczoną kurtkę marynarską? Co to znaczy?

— Uciekłem z okrętu — odrzekł Jerzy.

— Pleciesz — skądbyś się dostał na okręt! bawisz się w maskaradę, czy co?

— Jeśli tak, to przynajmniej przez ostatnie sześć miesięcy, zajmowałem się maskaradą wcale na seryo. — Ale żart na stronę — później dowiesz się wszystkiego. — Gdzie obiadujesz?

— Naturalnie z tobą, gdziekolwiek.

— Dobrze — ale nie mam pieniędzy i przychodzę właśnie prosić konsula o pożyczkę, celem powrotu do Nowego-Jorku. Teraz zaś wracam z południa i nie miałem nawet czem zapłacić za jazdę na parowcu, tak, że musiałem zastawić pierścień, który pragnąłbym wykupić jak najprędzej. Przy stole opowiem ci wszystko.

— Doskonale! — zawołał młody Burton — „Hewes" musi najpóźniej jutro powrócić, do tzgo czasu zaś moja kasa w zupełności wystarczy na odebranie twego pierścienia i sprawienie ci przyzwoitej garderoby, bo *w tym* stanie, niepodobna pokazać się z tobą ręka w rękę na ulicy. Więc przedewszystkiem, ciągnął dalej, zamykając biórko na klucz, teraz pojedziemy do parowca, moja łódka jest niedaleko — a potem dokompletujesz swą toaletę. — Po drodze opowiesz mi swe przygody i co cię zaprowadziło w tak odległe strony. Masz cygara przy sobie?

— Ani jednego. Żyłem trochę skąpo.

Burton uśmiechnął się, wsunął mu garść cygar w szeroką kieszeń kurtki — i ku wielkiemu zdziwieniu chileńskiego Peona, czyli służącego, wyszli z domu prowadząc się pod rękę obaj młodzieńcy: sekretarz konsula, *caballero*—i „prosty majtek."

Jerzy opowiedział przyjacielowi dziwne swe koleje, aż do najdrobniejszych szczegółów, swoje życie na pokładzie, ucieczkę swoją; a pierwszym promykiem nadziei, jak mówił, była mu okoliczność, że jego — to jest przyjaciela napotkał w tem miejscu. To mu dawało otuchę, że już teraz bez trudności będzie się mógł dostać do kraju i w ten sposób zakończyć swe udręczenia.

Młodzieńcy nasi, po wykupieniu pierścienia, przed obiadem jeszcze mieli dosyć czasu na zaopatrzenie Jerzego w najwykwintniejszą garderobę. Resztę dnia użyli na przejażdżkę w okolice, aż wreszcie Jerzy, udał się na spoczynek zmęczony fizycznie i duchowo, w skutek nagłej zmiany trybu swojego życia.

Nazajutrz znów odwiedził przyjaciela swego. Ten ostatni pomylił się, sądząc, że wolny od trosk, będzie wesołym i uśmiechniętym. Jerzy był grzecznym, ale mimo-to poważnym i zadumanym, nie pozwalał sobie żartu najmniejszego i zdawał się przygnieciony wiecznym niepokojem, który nie dawał mu ni spoczynku, ni wytchnienia. Była to tęsknota za krajem, za rodziną — za ukochaną. Burton chiał go wprowadzić do jednej ze znajomych familii, ale nie chciał pójść; nie chciał, jak mówił, widzieć szczęśliwego życia rodzinnego, bo mu ono zbyt boleśnie i dobitnie przypominało stratę, jaką poniósł. Dopiero gdy poczuje pod stopami ziemię Nowo-Jorską, odzyska spokój. Tymczasem Burton zebrał był nowy materyał do *chronique scandaleuse* pani Hewes. Wczoraj w południe, kiedy słyszano hałas na schodach, rzeczywiście do tyla się zapominała, że rzuciła biednej Alicyi książką w głowę. Przestraszona tem młoda dziewczyna, wybiegła nieostrożnie i spadła z kilku schodków, w skutek czego lekko skaleczyła sobie czoło. Burtona gniewało to nadzwyczaj, zwierzył się nawet Jerzemu z tem, że może całkiem rzuci karyerę dyplomatyczną — mianowicie, jeśli go pani Hewes zmusi do tego kroku. Mówił, że stanowczo zamierza skłonić Alicyą do przyjęcia obowiązków gdzieindziej, to jest u tej samej rodziny, do której należy najpiękniejsza i najdoskonalsza panna w Chili, anioł prawdziwy, którego serce zdobyć mu się udało. — On sam miał pewien mająteczek — rodzice panny Dolores—„aniołowi" było na imię „Dolores" — byli bardzo bogaci i mieli szczególniej znaczne posiadłości w Santiago.— Tymczasem jednak nie wolno mu jeszcze było na nic się odważyć, gdyż ojciec panny dotychczas nie zgadzał się na ten związek — wprost bowiem przeciwnie, jak jego córka — nie cierpiał Amerykanów. Gdyby więc był umieścił tam Alicyą, zanim sam zostanie przyjęty — mógłby sobie usunąć grunt z pod nóg jednocześnie w dwóch miejscach; stracić posadę i nie dostać narzeczonej. — Ale to musiało się rozstrzygnąć w ciągu kilku dni; córka i matka były już po jego stronie, gdy i ojca przeciągą, młoda rodaczka nie pozostanie ani chwili dłużej w tym domu.

Jerzy z życzliwym uśmiechem słuchał tych zwierzeń serdecznych; dziwnem jednak mu się zdało, że kobieta, zwłaszcza zaś kobieta tak młoda, może posiadać siłę taką szatańską, by być postrachem domu całego. Ale to, myślał, wina samego pana Hewesa, pocóż ożenił się z dziewczyną podobnego charakteru? A przecież to szczególna rzecz! Właśnie ten sam Hewes, jednocześnie z nim starał się o rękę Jenny i wyjechał z Nowego-Jorku wtedy dopiero, kiedy się przekonał, że rywal jego otrzymał górę. Więc nie miał złego gustu: i widać nie miał tylko szczęścia.

X. Poseł amerykański.

Jeszcze młodzieńcy nasi gawędzili ze sobą kiedy pod domem dał się słyszeć turkot powozu, a zaraz potem zadzwoniono. Był to Mr. Hewes, który powrócił z podróży do Sant-Jago. Jerzy zatrzymał się w kantorze, a Burton wyszedł na jego powitanie. Nie zdarzyło się w czasie nieobecności jego nic szczególnego — nadeszło tylko kilkanaście listów i jedna ekspedycya rządowa, dla zabrania których Hewes wszedł do kantoru.

Halay i Hewes znali się wprawdzie dawniej, nigdy jednak nie byli w ścisłej przyjaźni — a przynajmniej od czasu, w którym obaj do jednego zdążali celu. To też Jerzy sam nie wiedział, jak się ma zachować względem niego. Skoro poseł wszedł do własnego biura, wstał tylko i nisko mu się ukłonił. Hewes nawet nie raczył odkłonić się — spojrzał na niego badawczo i ze zdziwieniem, aż Burton uważał za stosowne przedstawić go.

— Jerzy Halay z Nowego Jorku.

— Halay! jak Boga kocham! — zawołał konsul podając Jerzemu rękę. — Sądeś pan dla Boga wziął się tutaj, albo raczej gdzie obracałeś się pan dotychczas?

— To długa historya, kochany panie Hewes — odrzekł Jerzy zakłopotany—ale przybywam właśnie do Valparaiso, by panu opowiedzieć wszystko.

— Mnie?

— Konsulatowi. Wszak nie wiedziałem, kto jest na tym urzędzie.

— Rodzice pańscy, wielką mieli obawę o pana. Czemużeś pan znikł tak nagle i tajemniczo?

— Stało się to pomimo woli mojej, sir!

— Pomimo woli? — zawołał Hewes — ale chodź pan na górę do mojego pokoju — a może pan już wiesz, co się tu stało?

— Tu? — spytał Jerzy ze zdziwieniem — nie wiem.

— Nie?—od jak dawna pan tu jesteś?

— Od wczoraj.

— Czy już przywitałeś się pan z moją żoną?

— Nie śmiałem, nie mając szczęścia znać małżonki pańskiej.

— Dobrze — chodź pan ze mną na górę musimy z pół godzinki pozostać na osobności, mam bowiem pomówić z panem o tem i owem, a obok tego bardzo radbym wiedzieć, z jakiej przyczyny wydaliłeś się pan wówczas z Nowego-Jorku. Czy Burtona znałeś pan dawniej?

— Jesteśmy dawnymi towarzyszami podróży i przyjaciołmi.

— W samej rzeczy — więc choć pan, kochany panie Halay — i biorąc listy swoje wszedł razem z nim po schodach, a potem do pokoju, gdzie poprosił go siedzieć. Listy położył na biórko, potem wziął z kredensu karafkę *Sherry* i kilka szklanek — postawił pudełko cygar, a podczas, gdy Jerzy zdumiewał się nad tem niezwykłem i niespodziewanem przyjęciem rzekł:

— Tak, kochany panie Halay — najsamprzód więc szklaneczkę za szczęśliwe nasze spotkanie — a teraz powiedz mi pan, co cię sprowadza do Valparaiso i jakim sposobem opuściłeś wtedy New-Jork. Więcej mnie to obchodzi, aniżeli pan sądzić możesz.

Jerzy opowiedział mu tedy — szczegółowiej nawet, jak Burtonowi — przygody ostatniego półrocza, nie przemilczał też o przyczynie, dla której owego wieczora wyszedł nieco zmartwiony od swej narzeczonej i potem starał się stłumić na kilka godzin, niesłuszny może gniew swój. Toć nie mógł wiedzieć, kończył, że to tak straszne pociągnie następstwa.

Mr. Hewes nie przerywał mu ani słówkiem, aż do końca, milcząc i w zamyśleniu dopalając cygaro.

— Więc od owego czasu nie miałeś pan żadnej wiadomości z Nowego-Jorku?

— Jakże mogłem? — rzekł Jerzy — wszak przed kilkunastu dniami dopiero udało mi się zemknąć z okrętu, a pierwszy Amerykanin, z którym mówiłem od tej chwili, Mr. Burton, najprzód nie ma wcale znajomości w New-Jorku, a powtóre od dawna tam nie był. Od owego wieczora nieszczęśliwego nie słyszałem nic o Nowym-Jorku i niedawno dopiero znalazłem na pokładzie okazyą, do napisania kilku słów do domu, które atoli niewcześniej, jak najbliższym parowcem zostaną stąd wyprawione.

— A czy nie wrócisz pan także tym samym parowcem?

— By módz wrócić, właśnie przyszedłem do konsulatu — bo naturalnie, że mi zrabowano pieniądze, jakie wówczas miałem przy sobie.

— Rozumie się, że gotów jestem służyć panu taką sumą, jakiej zechcesz.

— Dziękuję serdecznie.

— Ale nieobojętnem pewnie będzie dla pana, co się stało w New-Jorku po nagłem zniknięciu pańskiem.

Mr. Hewes zamilkł nagle, pod jego drzwiami bowiem dał się słyszeć nieco podniesiony głos kobiecy.

— Moja żona — rzekł poseł, widocznie zakłopotany — winienem panu oświadczyć, że —

W tej chwili drzwi się otworzyły z trzaskiem i na progu stanęła młoda lady, która surowym głosem, nie zważając, ani nawet obejrzawszy się na obcego, zawołała:

— Jakto sennor — pomimo czterodniowej nieobecności, nie zadajesz sobie nawet tyle trudu, żeby żonie powiedzieć „dzień dobry!“

Jerzy zerwał się z krzesła i spoglądał na przybyłą, jak na widmo.

— Jenny! — więcej wymówić nie był wstanie. Jakby czarem jakimś przykuty do miejsco, niezdolny był się ruszyć, nawet drgnąć powieką.

Zadąsana młoda pani prędko odwróciła się do niego, ale zbladła jak trup. Pierwszem wrażeniem, jakiego doznała, był także przestrach i zdziwienie, nie była bowiem przygotowaną na takie spotkanie — prędzej jednak, aniżeli Jerzy wróciła do przytomności. Piękna twarz jej była jeszcze bladą, jak marmur — ale w tej samej chwili wyraz zimny i pogardliwy prawie zadrgał w około koralowych jej ust.

— Mister Halay — rzekła mową urywaną — to, doprawdy, niespodziane spotkanie. Żałuję, żem bezwiednie weszła panu w drogę, i dumnie zadarłszy głowę, rzucając jeszcze raz ironiczne spojrzenie na dawnego „kochanka“ wyszła z pokoju i z łoskotem zamknęła za sobą drzwi.

A Jerzy wciąż jeszcze nieporuszony patrzał się na nią. Byłaż to Jenny — *jego* Jenny? — aleź to być nie może — żona konsula — mały szatan domowy — a potem? — przecież Burton mówił, że Mr. Hewes przeszło pięć miesięcy już żonaty, a nie wiele więcej wszak od czasu gdy opuścił New-Jork? — A jednak wymieniła jego nazwisko — a to spojrzenie pogardliwe, jakie rzuciła na niego — Jenny — której obraz wśród gorącej, dręczącej tęsknoty napełniał mu serce — narzeczona jego — jego wszystko na świecie — a ona przed chwilą stała obok niego, tuż przy nim u drzwi—i nie padła w jego objęcia — a on jej nie pochwycił i nie trzymał, by nie rozstać się z nią nigdy, przez całe życie. Kręciło mu się w głowie — myśli goniły jedna drugą — i pomimo woli oparł się o poręcz pobliskiego krzesła, by nie upaść. (*d. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Pasporty z fotografiami.—„Nowosti“ dowiadują się, iż z uwagi że zamieszczane dotąd na pasportach rysopisy nie wystarczają w danych razach — przeto rozpatruje się obecnie projekt mający na celu zastąpienie rysopisów fotografią, która będzie zdejmowaną w 2-ch egzemplarzach, z których jeden pozostawać będzie w Urzędach, drugi zaś ma się naklejać na pasporcie.

Biblioteki.—W Stanach zjednoczonych Ameryki północnej istnieje 164,615 bibliotek publicznych i prywatnych, które obejmują 45,528,938 tomów. Z tych 38 tysięcy bibliotek z 10 milionami tomów jest własnością szkół niedzielnych i religijnych.

OD REDAKCYI.

W pierwszym kwartale roku przyszłego 1875 *Tygodnik* **Ognisko Domowe**, wychodzić będzie jak dotąd, raz na tydzień t. j. co piątek, bez zmiany dotychczasowego programu i ceny. Poczynając od dnia 1 stycznia r. p. objętość naszego Tygodnika znacznie zostanie powiększoną przez dołączanie w miarę potrzeby *półarkuszowych* **bezpłatnych dodatków**, które później, przy szerszym rozwoju pisma, dołączane będą stale *do każdego numeru*. To powiększenie liczby łamów **Ogniska Domowego**, ułatwi Redakcyi możność, dokładnego wypełnienia zapowiedzianego w pierwotnym prospekcie programu.

Rychłe spełnienie naszych zamiarów, zależeć będzie od przyjęcia, jakiego one doznają od czytającej publiczności.

Numer 14 **Ogniska Domowego**, który będzie pierwszym w roku 1875, wyjdzie w sam dzień Nowego-Roku, z tego więc powodu dla możności uregulowania ekspedycyi i nienarażenia PP. Prenumeratorów na przerwę lub zwłokę w odbiorze numerów upraszamy *o wczesne nadsyłanie przedpłaty* adresując wprost do Redakcyi: **Ulica Bielańska Nr. 8 w Warszawie.**

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Barcz w Jasnogródku. — Dwa pierwsze numery, stosownie do żądania, wysyłamy.

Pani Ludwice Dederko w Oborku.—Prenumerata była zapłaconą na pół roku t. j. do dnia 1 kwietnia r. p. Obecnie otrzymaliśmy rs. 3, które zaliczamy na prenumeratę od 1 kwietnia do 1 października 1875 r.

Panu J. B. Liwskiemu w Śledziach. — Na rachunek dawnej Redakcyi wysyłać Panu będziemy Ognisko do 1 kwietnia; nadesłane rs. 3, zaliczamy na prenumeratę do 1 października r. p.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**